TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II.Nr.50 /58/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 10.XII.1942.

Koszmarne wieści.

Czwarty już rok trwa gehenna narodów w Europie. Gęste salwy plutonów egzekucyjnych i jęki obozów tortur przekonały nas rychło, iż to co wydawało się z początku niepojęte i niemożliwe, było potworną pewnością: że naród niemiecki był wychowywany z zimną premedytacją do masowych mordów, że z pogardą wyrwał z siebie jak chwast niepotrzebny te najszlachetniejsze ideały, które sprawiają, że słowo "człowiek" przestało być oddawna przyrodniczym określeniem gatunku.

Ale mimo że aż nadto dobrze wiemy, do czego zdolni są Niemcy, wiadomość o zamiarze masowego, systematycznie przemyślanego wymordowania setek tysięcy żydów Europy - jest tak niesamowita, tak przerażająca, że przechodzi pojęcie normalnego człowieka. Ów nieludzki cynizm krwawego oprawcy w stosunku do starej, zasłużonej dla kultury świata, bezbronnej ludności żydowskiej - odsłania całe zwyrodnienie duszy niemieckiej, beznadziejność jej schorzenia, jej bezpowrotne zerwanie z cywilizacją, której dramatyczny rozwój natchniony był przez ideały humanitaryzmu i miłości bliźniego. Niemcy wykluczyły się na długie wieki ze społeczności narodów; fakt, że ani jeden głos protestu nie podniósł się w społeczeństwie niemieckim na widok tego wyrachowanego, krwawego szaleństwa - pozostanie jako stygmat hańby na tym narodzie, odgrodzi go od innych społeczeństw nieprzebytym murem pogardy i potępienia.

My Polacy jesteśmy szczególnie boleśnie wstrząśnięci. Toć przecież ta najstraszniejsza w dziejach zbrodnia dzieje się na ukochanych ziemiach polskich. Ze wszystkich kątów Europy niemieccy siepacze spędzają kobiety i dzieci, starców i młodzież do ghetta warszawskiego, idą koszmarne korowody sponiewieranych, bitych, półnagich żydów i znikają nazawsze za wysokimi murami męki i konania. Nikt nie wie, co się tam dzieje, czasami tylko ukradkiem zasłucha się pod murem dziecko, kobieta lub mężczyzna polski, by ułowić cichy jęk głodowej agonii i przerzucić kromkę suchego chleba, wydobytą z zanadrza.

Wysoki mur, wzniesiony przez oprawcę, nie zdołał stworzyć prze-

działu między ludem polskim a żydowskimi męczennikami, - przeciwnie, połączył węzłem tak mocnym, jak mocnym może być tylko wspomnienie wspólnej gehenny i ofiary dla ideałów ludzkości. Tam wspólnie znoszą cierpienia niewymowne, wierzą i trwają w oczekiwaniu wyzwolenia - a tu na wygnaniu, czy w Ameryce czy w Afryce czy w Rosji czy w Azji, jednako my wszyscy tęsknimy do kraju i trwożymy się o najbliższych, wydanych bezbronnie w ręce przemocy. Ofiara wyraża się nietylko w niebotycznych cyfrach pomordowanych, lecz nadewszystko w ogromie sponiewieranych uczuć ludzkich, w morzu łez i rozpaczy.

My Polacy przyłączamy się do protestu świata na wiadomcść o tych zamysłach niemieckich zbrodniarzy nietylko dlatego, że tak nam nakazuje nauka chrześcijańska, wrodzony instynkt humanitarności i tradycja naszej kultury, lecz przedewszystkiem ponieważ wśród tych milionów żydów, zagrożonych wymordowaniem, są setki tysięcy naszych rodaków, setki tysięcy braci, tak jak wszyscy Polacy przywiązani do mowy i ziemi ojców naszych, wyrośli w kulturze Kochanowskich, Mickiewiczów i Żeromskich, mający jedne z nami ideały i dążenia. Dlatego ta masowa rzeź, dokonywana na ludzie żydowskim, poprzednio straconym na dno ostatecznej udręki cielesnej i duchowej, odczuwamy nietylko jako potworną ohydę, lecz również jako cios, który nie różni się niczem od planów, wymierzonych w fizyczne istnienie narodu polskiego. Wypędzony z zagrody polski rolnik, wywieziona do Niemiec dziewczyna, bezdomna matka z dziećmi, wlokąca się po gościńcu w niewiadomą dal, cienie rozstrzelanych bojowników i patriotów oraz skatowany żyd polski - oni wszyscy jednako są ofiarami wroga, męczennikami wspólnej sprawy, oni wszyscy domagaja się od nas, aby walczyć i podeptać barbarzyństwo, aby pracować, iżby wreszcie nastał pokój prawdziwy na tym skołatanym globie.

Te wspólne ciężkie doświadczenia nie dadzą się wymazać z pamięci. One obowiązują najgłębiej i stanowią nakaz nieodparty. One są drogowskazem na przyszłość. I kiedy przejmiemy znów z rąk strudzonego żołnierza polskiego najdroższy dar niepodległości, będziemy wierzyli, iż zbudujemy Polskę, w której każdy obywatel, bez żadnej różnicy znajdzie szczęście i pomyślność. Bolesne doświadczenia nauczyły nas, że tylko w ten sposób zbudujemy Polskę wielką moralnie, potężną fizycznie i szczęśliwą wewnętrznie. I choć szeregi nasze będą straszliwie przerzedzone, choć wielu najbliższych, krewnych i przyjaciół już nie zastaniemy wśród żyjących - siły do tej nadludzkiej pracy znajdziemy we wspólnym wiernym przywiązaniu do kraju, w miłości i oddaniu do macierzy, która nas wykarmiła, w rzetelnym, uczciwym stosunku do gniazda rodzinnego.

Wiemy, że w obliczu ogromnego nieszczęścia, jakie spotkało naród żydowski, powinny zamilczeć usta, bo każde, choćby najserdeczniejsze słowo, jest bladym tylko dźwiękiem, niewłaściwym może w chwili cierpienia i żałoby. Przecież zarówno dzisiaj, jak i nazawsze w przyszłości, wymowniej przemówia do nas cienie bohaterów i męczenników, ów nieprzeliczony orszak naszych braci, przyjaciół i towarzyszy, wiodacy nas po drodze, po której im za życia pójść nie dano.

Zenon Kosidowski

Gwiazdka jeńca polskiego.

"...Kiedy się dźwięki kolędy rozlegną
Na obcej ziemi w Wigilię tułaczą
Myśli jak ptaki strwożone pobiegną
Ku tym, co na nas czekają i...płaczą.

Jakąż Ci, Jezu, dziś złożę ofiarę?
Nie stać nas przecie na perły i złoto.
Chyba mundury postrzępione, stare,
Żołnierskie serca, bijące tęsknotą...

Myśmy krwawego nie zlękli się trudu,
O jedno dzisiaj prosimy Cię, Panie!
Ty,coś zszedł z niebios,by cierpieć dla ludu
Spraw,niech się dla nas sprawiedliwość stanie!"
/Feliks Szelewicki,Obóz w Durrenroth/ 1940/.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Poraz czwarty z kolei obchodzić je będzie świat wśród huku dział i gwizdu bomb lotniczych, w atmosferze wzajemnej nienawiści, w łunie pożarów, w krwi i deszczu ognia. W Afryce Australii, na Dalekim Wschodzie, na ośnieżonych równinach rosyjskiego płaskowyżu, na wyspach angielskich i w Europie, budzącej się do wyzwolenia - trwa naprzemian mordercza walka i zbrojne pogotowie.

Ale gdy na firmamencie jednego nieba zabłyśnie pierwsza gwiazda w noc wigilijną - nikt nie będzie samotny i opuszczony. Wracających z walki żołnierzy zastanie choinka i stół wigilijny, marynarza na statku dojdzie list z opłatkiem, załogę bombowca powitają w mgle kolorowe rakiety macierzystego lotniska i dalekie śpiewy oczekujących go kolegów. W tę noc tajemniczą i wielką symbolem wieczystego misterium połączą się wszystkie serca i dłonie a usta wniosą ku niebu prośbę o pokój ludziom dobrej woli.

Brak będzie tylko jego. Bezimiennego żołnierza bez broni i bez przydziału, wycieńczonego głodem i bezsennemi nocami rozmyślań, wsłuchanego w monotonny, ciężki chód strażnika stalagu. Od tragicznych dni września 1939 r. jest sam, bezlitośnie sam. Nie zna adresu wysiedlonej rodziny. Dzieli go od niej potrójny zasiek kolczastego drutu, dwa karabiny maszynowe, wycelowane w okno baraku i setki mil, których - nawet w razie ucieczki - nie ma sił przebyć piechotą.

Jest sam. Równie sam jak jego kolega i towarzysz broni w stu innych stalagach, rozrzuconych po Niemczech, Austrii, Francji czy Norwegii. Poprawia na sobie poszarpany mundur i kładzie się na pryczy, wpatrzony tępo w sufit i w zamknięte okno. Myśli o ludziach szczęśliwych, którzy w ten wieczór wigilijny bawią się, piją i śpiewają, o kolegach, którzy w przerwie bitwy zasiadają do stołu pokrytego białym obrusem i gałązkami choiny. On walczyć nie może. Jest jeńcem - zapomnianym człowiekiem, który spełnił swój obowiązek ale nadal go pełnić nie może. Przypomina mu o tem co chwilę ciężki monotonny krok strażnika stalagu, drut kolczasty i dwa karabiny maszynowe, wycelowane w jego okno.

Nagle budzi się z rozmyślań. Ktoś wszedł do baraku. Ktoś dotknął jego ramienia. Na pryczy leży kilkufuntowa paczka. Nerwowo rozdziera

papier, widzi jej zawartość: cukier, czekoladę, masło, szynkę, papierosy, mydło i list z opłatkiem. Patrzy na adres nadawcy:

"POLISH WOMEN'S RELIEF COMMITTEE" 151 E.67 St., New York,N.Y.

Podnosi oczy. Ma w nich łzy. Łzy wdzięczności dla ludzi, którzy nie zapomnieli o nim w smutną noc wigilijną czwartego roku wojny.

- - - -

Tę paczkę jeńcowi polskiemu w Niemczech wysłała Pani. I Pan.

W dawnej Polsce, gdy ktoś z bliskich znajdował się w podróży lub na wojnie i nie mógł z rodziną zasiąść do wigilijnej wieczerzy - nakazywał obyczaj, by krzesło jego nie było zajęte a na talerzu nieobecnego leżał opłatek, tradycyjny symbol pamięci i duchowej łączności wszystkich z wszystkimi.

Zachowajmy tę tradycję i przy naszym stole wigilijnym. Niech na jednym talerzu będzie opłatek, kilka dolarów i list dla jeńca polskiego w Niemczech. Winniśmy mu wdzięczność. Był pierwszym żołnierzem demokracji światowej, który podniósł się przeciw przemocy i stanął do walki o to, byśmy my w Nowym Yorku, Brooklynie, Buffalo, Newarku mogli się łamać opłatkiem bez obawy, iż nam ten opłatek ktoś wytrąci karabinem z ręki. I śpiewać polskie kolędy, nie narażając się na natychmiastowe aresztowanie i obóz koncentracyjny. Jeść, pić i tańczyć. On zapłacił cenę waszej wigilii.

Pomyślmy o nim w tej chwili. Jest samotny i ma tylko was. "Polish Women's Relief" wysyła co tydzień setki paczek - ale jeńców są tysiące. Dlatego każdy dolar, złożony na stole wigilijnym jest dobrodziejstwem. Trzy takie dolary i list - to gwiazdka polskiego jeńca i pierwsza radość od czterech lat.

Jerzy Tepa

Zawiadamiamy naszych abonentów, że z dniem 1-go stycznia otrzymywać będą nowe pismo pod nazwą "TYGODNIK POLSKI" - zamiast dotychczas wydawanego "Tygodniowego Przeglądu Literackiego".

Do niniejszego numeru załączamy prospekt nowego pisma oraz deklarację przedpłaty, z uprzejmą prośbą o łaskawe spieszne wypełnienie jej i przesłanie do naszej redakcji.

Drugi załączony egzemplarz prospektu prosimy wręczyć znajomemu, który nie był abonentem "Tygodniowego Przeglądu Literackiego". Wierzymy że nasi czytelnicy, którzy dotąd okazywali nam swoją życzliwość zechca dopomóc w rozpowszechnianiu "TYGODNIKA POLSKIEGO".

Warunki przedpłaty /z przesyłką pisma do domu/ sa następujące: miesięcznie 40 ct., kwartalnie 1.20 - półrocznie 2.40 - rocznie 4.50.

D z i e c i . Nowela.

Pana Franciszka nie interesowała zbliżająca się wojna. Po siedemdziesiątce człowiek nie przejmuje się już byle czem. Właściwie obchodziła go tylko wątroba, na którą musiał bardzo uważać - i parę antyków. Ale - autentycznych, wartościowych, a nie jakichś starych gratów, z którymi zżył się. Nie dlatego też kochał je, że przypominały mu dawne dobre czasy, kiedy to było ich o wiele, wiele więcej - dziś zostało wszystkiego kilkanaście sztuk, lecz kochał je tak, jak znawca kocha dzieło sztuki.

Bo jak nie kochać tego ciężkiego stołu z piętnastego wieku z krzyżowymi nogami i z brzegiem rzeźbionym w gotyckie motywy? lub tej gromadki dzieci nad miską kartofli - nieznanego mistrza holenderskiego z siedemnastego wieku? Znał każdy szczegół na zczerniałym od starości płótnie - i czerwonawe światło pieca na twarzach dzieci, i groźnie zmarszczone brwi jednego, i łobuzerski uśmiech drugiego i cały świat zamknięty w szeroko otwartych oczach najmłodszego - a jednak nie było dnia, żeby nie stawał przed nimi. Dlaczego - nie wiedział sam, bo wogóle co raz mniej już rozumiał. Co raz częściej zdarzało mu się, że zapominał o czem myślał. Z pewnością to ciśnienie krwi. Za wysokie stanowczo i stąd te zawroty...

Dlatego też co raz mniej stykał się z ludźmi. Nigdy nie obchodzili go oni wiele, ale niedawno jeszcze, jakichś piętnaście, dwadzieścia lat temu spotykał się z paroma znajomymi w małej kawiarence na Marszałkowskiej. Z każdym rokiem jednak co raz mniej chodziło ich po świecie, a czarnej kawy nie wolno mu teraz tknąć, więc do kawiarni tylko po sucharki wstępował i w domu moczył je w rozwodnionym mleczku.

Czasem jakiś sąsiad próbował zacząć z nim rozmowę, ale pan Franciszek na wstępne "dzień dobry" odpowiadał milczącym uchyleniem kapelusza i wędrował dalej po krętych schodach do swego pokoiku na najwyższym piętrze. Nie będzie przecie zawierał nowych znajomości. I to z ludźmi z takiej sfery. W teorii był zawsze demokratą, ale nigdy nie zapominał, że stał pod każdym względem wyżej niż jego sąsiad z niższych, droższych pięter. Gdyby chciał, mógłby przecie mieszkać też w pięknym mieszkaniu i nie musiałby nawet sprzedawać nic ze swoich antyków. Wystarczyłoby mu wyjąć z banku trochę pieniędzy. Ale po co? Naraziłoby go to na niepotrzebne stykanie się z ludźmi.

Jedynym człowiekiem, z którym od czasu do czasu zamieniał parę słów, była żona dozorcy kamienicy, Marcinowa. Ale i to urwało się. Przychodziła z swoim chłopcem, jedenastoletnim Staszkiem, i choć chłopak nic nie mówił i nie kręcił się po pokoju tylko stał spokojnie i czasem pomógł w czem matce, drażniło to starszego pana. Skorzystał więc z tego że Marcinowa poprosiła raz o zapłatę przed końcem miesiąca, bo mąż szedł do wojska i zwolnił ją ze służby.

- Stare to a złe jak diabeł - opowiedziała w kamienicy, więc skończyły się nawet pozdrowienia na schodach. Stary został w zupełnej pustce, ale nie było mu z tem źle.

Nic dziwnego, że nikt o nim nie myślał, kiedy zaczęła się wojna. Widywano go czasem, jak dreptał do kawiarenki - sucharków zabrakło, ale zawsze jakiś bochenek chleba znalazł się dla starego klienta - nikogo jednak nie wzruszało, że stary nigdy nie schodził do schronu.

Tymczasem życie na dole przybierało nowe formy. Stłoczeni w jednej piwnicy ludzie zaczynali tworzyć pewną nową jednostkę społeczną. Gdy dozorczyni szła do ogonka po chleb, jej chłopiec wędrował do hydrantu ulicznego po wodę, urzędniczka starała się o drzewo, żeby było czym

w piecu rozpalić, a zecer polował na nadzwyczajne zdobycze w rodzaju kartofli lub kawałka końskiego mięsa. Cel tego ustroju był oczywisty. Naprzekór śmierci lecącej z nieba trzeba wzajemną pomocą utrzymać życie utajone w piwnicach.

To też gdy przyszły ostatnie trzy dni oblężenia Warszawy i detonacje zlewały się w jeden ciągły grzmot, ludzie w piwnicy nie mogli znieść myśli o samotnym starcu na górze.

- Nieużyty był to człek i nic go drugie nie obchodziły, ale trza go też ratować - zadecydowała Marcinowa i poszła ze Staszkiem po niego. W pokoju, jak wszędzie zresztą, nie było ani jednej szyby, z ścian pokaleczonych odłamkami granatów sypał się tynk, a z okna widać był czarne dymy płonących w pobliżu kamienic, pan Franciszek jednak nie patrzał na to. Siedział przed holenderskim mistrzem i przypatrywał się dzieciom. Zejść na dół nie chciał, bo jak zostawić te wszystkie antyki na zniszczenie, ale wywalczył tylko tyle, że Staszek poniósł ukochany obrazek za nimi, gdy Marcinowa pomagała mu na schodach. Upierał się jeszcze przy tym ciężkim stole, ale nikt przecie nie dałby mu rady.

Dała mu jednak radę bomba. Znalazł się też na dole, ledwie dowlekli się do piwnicy, bo pięćsetkilówka rozpruła dom od mieszkania pana Franciszka do parteru. Jedynie piwnica ocalała, choć z popękanymi murami. Usadowili w niej starego i nawet przynieśli mu ten stół. Nie przedstawiał on już żadnej wartości, bo stracił po drodze nogi a deska pękła na pół, ale dobrzy ludzie powycierali go z gruzu i ułożyli koło niego, żeby nie czuł się tak bardzo samotny.

Usiadł przy tych rupieciach z swoim obrazkiem, długie nogi skulił pod siebie, żeby nikomu nie przeszkadzać, w suchej ręce ściskał kawałek chleba, który mu dała Marcinowa - i myślał. Myślał godzinę, drugą trzecią i czwartą, aż dzieci z początku zalęknione przywykły do niego. Gdy Staszek poszedł po wodę a Marcinowa po chleb, dwoje zaczęło się bawić w chowanego za jego plecami, a trzecie, najmłodsze, chciało gramolić się na jego kolana. Nie dał po sobie poznać, że go to złościło i udał, że nie widzi jak potem starsze oparły deskę jego stołu na jakiejś beczce i urządziły sobie zjeżdżanie po jej gładkiej powierzchni. Chciał pocieszyć się widokiem dzieci na obrazku, ale nie mógł nic zobaczyć. W piwnicy było tak ciemno, jak w izbie na zczerniałym płótnie. Więc przysunął bliżej odłamane nogi stołu, żeby one przynajmniej ocalały.

Nie ocalały jednak. Zrobiono z nich krzyżyk dla Marcinowej, gdy chowano ją na skwerku przed domem. Karabinowa kula samolotu przerwała jej drogę do ogonka po chleb. Pan Franciszek też był na tym pogrzebie. Musiał jakoś pomóc Staszkowi, bo dzieci zalewały się łzami. Dwoje trzymało go za nogawkę, a najmłodsze musiał wziąć na ręce. Potem klęknął z nimi przed krzyżykiem i odmówił pacierz. A potem Staszek kazał wracać do piwnicy, bo znowu zaczęły bić armaty.

A potem, kiedy Niemcy byli już w Warszawie, tak jakoś się stało, że Staszek co raz częściej rozkazywał, bo objął funkcje matki, a on słuchał, bo przejął obowiązki Staszka. Staszek chodził zdobywać chleb, palił pod kuchnią i gotował zupę z obierzyn kartofli, a on chodził po wodę i bawił dzieci. Tak się też jakoś stało, że już bez żalu ustawiał im deskę stołu do zjeżdżania i nie bolało go nawet, gdy musiał wyciąć z ramy obraz dzieci, bo groziło, że Niemcy zabiorą go, rabując wszystkie antyki. Ciężka stara rama świetnie paliła się pod kuchnią, a w jej świetle dzieci nad miską kartofli wyglądały zupełnie jak na obrazie. Ten sam łobuzerski uśmiech u jednego, to samo groźne spojrzenie w drugim i zapatrzone oczy trzeciego, gdy słuchały opowiadania. Bo sam pan Franciszek nie wiedział, jak się to stało, że zaczął do nich mówić. Najpierw tylko

pacierze wieczorem, potem w sprawach gospodarczych, a wreszcie - bajki. Robił to niedołężnie, plątał się i mylił, ale dzieci same mu pomagały i ostatecznie usypiały.

Gdy Niemcy zaczęli konfiskatę dzieł sztuki i pan Franciszek musiał holenderskiego mistrza złożył w czworo i schować do kieszeni, ze wstydem stwierdził, że nie zabolało go to tak jak powinno. Bo po prostu obraz już nie podobał mu się tak jak dawniej. Uśmiech chłopca miał za mało życia, a te oczy - to jednak nie prawdziwe oczy dziecka.

Upływał miesiąc po miesiącu i ludzie biednieli i mizernieli, bo życie stawało się co raz cięższe, ale pan Franciszek młodniał z każdym dniem. Z sąsiadami ucinał sobie długie rozmowy, dzieci prowadzał na spacer, a miejsce bajek zajęła nauka. Bo najpierw wlazł jakoś w te bajki Smok Wawelski, potem Wanda, potem Piast i Aniołowie, potem cała historia Polski, a potem pisanie, czytanie i rachunki. A potem i paru sąsiadów zaczęło przysyłać swoje dzieci. Pan Franciszek miał bardzo mało czasu dla siebie, ale co miał robić, gdy rzeczy, które już prawie zapomniał okazały się prawdziwym skarbem, kiedy Niemcy zamknęli szkoły. Co miał robić? Te usta tak się otwierały przy słuchaniu, a oczy patrzały z takim ogniem, gdy opowiadał o Grunwaldzie. Pan Franciszek obejrzał w życiu wiele wystaw, ale nigdy na żadnym obrazie nie widział takich dzieci jak te z warszawskich piwnic. Mistrz holenderski nie miał pojęcia o tym cieple, uśmiechu, łzach, o prawdziwym życiu w prawdziwych dzieciach!

Tylko na naukę Staszka nie było czasu. I nawet nie można było nic powiedzieć mu, bo to on rządził wszystkim. A rządził tak, że nie raz krzyczał na pana Franciszka. Pan Franciszek milkł wtedy i mieszał się, bo przecie niedawno dopiero nauczył się mówić, a sprawieliwie musiał przyznać, że chłopak miał rację. Ten pierścionek sprzedał rzeczywiście zbyt tanio. Staszek dostałby trzy razy tyle. I rzeczywiście dostał,gdy potem poszedł złoty łańcuszek do zegarka. A zegarek wystarczył na pełne dwa miesiące życia i na zapas liści tytuniowych, z których żyli nowe dwa tygodnie, choć sam pan Franciszek wciąż palił. Od tego czasu nie pozwalał sobie na żadne nieposłuszeństwo.

Doszło wreszcie do tego, że Staszka nie było w domu całymi dniami. Wracał dopiero wieczorem, zmęczony i głodny, więc o nauce nie było mowy. Ale pan Franciszek nie pytał nigdy o nic. Nie pytał nawet, gdy Staszek wychodził czasem w jego za dużej marynarce, a wieczorem przynosił jakieś paczki pod nią ukryte. Sam pomagał mu lokować je wysoko w szczelinie pękniętego muru, a rano wiązał je mocno sznurkiem dokoła nagiego ciała chłopca. Potem wychodził w płaszczu przed dom i, gdy nie było nic podejrzanego, dawał znać Staszkowi. Wtedy Staszek wychodził w jego marynarce, która teraz nie była wcale za duża. Pan Franciszek o nic jednak nie pytał, bo takie są prawa konspiracji, że jedno spojrzenie wystarczy.

Po co zresztą było pytać. Wiadomo gdzie chłopak nosił tę bibułę, jeżeli przynosił czasem sześć, a czasem nawet tuzin jajek, których w mieście nie można było dostać za żadne pieniądze.

Raz tylko, gdy chłopak miał za duży ciężar, niedyskretnie ofiarował mu się z pomocą. Jest słaby to prawda, ale pod płaszczem udźwignie połowę tego. Staszek jednak spojrzał na niego ostro i odpowiedział krótko.

- A przysięga to pies? Przysiągłem, że nikomu nie powiem, gdzie idem! A po drugie, że nauka dzieciaków to także samo rzecz ważna, albo i jeszcze więcej ważniejsza.

Więc został pan Franciszek przy dzieciakach, a choć zamartwiał się ich głodem i ubraniem, z którego łachmany zostały, choć żadnych pie-

niędzy nie mógł wydostać z banku i choć za holenderskiego mistrza nie dostałby ani grosza, bo zupełnie zniszczył się w kieszeni - był szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu. Czuł, że wreszcie jest na coś potrzebny.

Raz wracał z całą trójką do domu po długim spacerze w Alejach, gdy nagle na rogu Kruczej zobaczył coś, co ścisnęło mu serce z nieznaną dotychczas siłą. Staszek, obładowany bibułą, stał między dwoma Niemcami. Jeden w mundurze trzymał go za kołnierz, a drugi, cywilny z swastyką na ramieniu, pakował mu rękę pod bluzę. Chłopak wiedział, że to już koniec ale nie tracił przytomności umysłu. Gdy zobaczył pana Franciszka, rzucił mu groźne spojrzenie - gdzie tam holenderskiemu mistrzowi do takiego - które pan Franciszek zrozumiał od razu. Nie przyznawaj się do mnie i smaruj dalej z dziećmi - mówiło ono wyraźnie. Pan Franciszek wiedział jednak, że nieposłuszeństwo niczym mu już nie grozi. Pchnął więc dzieci dalej, a sam, nie wiedząc jak, znalazł się między Niemcami. Nie wiedział też, jak się to stało, że swoją długą kościstą ręką trzasnął z całej siły w pysk cywilnego, a gdy wojskowy puścił chłopca i sięgnął do torby z rewolwerem, palnął go na odlew tak, że hełm spadł mu z głowy.

Oszołomienie Niemców nie trwało długo. Parę sekund wystarczyło na repetowanie mauzera, tych parę sekund wystarczyło jednak Staszkowi, żeby znalazł się na drugiej stronie ulicy.

Gdy pan Franciszek leżał na ziemi, wiedział, że kula przeszła przez dzieci holenderskiego mistrza. Ale nie było mu żal, bo ostatnim spojrzeniem widział między rozbiegającymi się przechodniami chude nogi Staszka. Znikły w bramie przechodniej kamienicy, gdy Niemcy rozglądali się za nim.

Potem przez chwilę jeszcze żył. Wiedział, że leży twarzą na bruku, czuł nawet ból stłuczonego policzka, czuł nawet ciepło krwi, która spływała mu po ciele, ale czuł też po raz pierwszy w życiu prawdziwe szczęście. Umierając - uśmiechał się.

Antoni Cwojdziński

Profesor Zawacki.

Trzecim z kolei prelegentem w cyklu odczytów poświęconych historii piśmiennictwa polskiego, urządzonym staraniem Komisji Historii Literatury Polskiej Instytutu Polskiego oraz Koła Pisarzy z Polski był Dr. Edmund Zawacki. Moja znajomość z nim była bardzo przelotna. Przypominam sobie, że przed bodaj czterema laty odbyłem z nim raz krótką rozmowę, prowadzoną w języku angielskim, zbyt jednak krótka, by mogła zostawić większe wrażenie. Było to zapewne wtedy, gdy Zawacki wrócił z Polski do Stanów Zjednoczonych i z New Yorku udawał się do domu swoich rodziców w Massachusetts.

Podkreślam słowo "wrócił", bo Zawacki jest Amerykaninem tutaj z polskich rodziców emigrantów urodzonym. Środowisko, z którego wyszedł, niczym nie różni się od otoczenia, w którym wzrosły setki tysięcy młodzieży amerykańskiej polskiego pochodzenia. Musiał jednak Zawacki odznaczać się większą od innych przedsiębiorczością i rzutkością, a może i głodem przygód, bo po uzyskaniu wykształcenia średniego i kolegialnego skierowuje wzrok ku krajowi pochodzenia swych rodziców, zamyślając z początku pracować w polskiej YMCA. Gdy w danej chwili nie daje się to urzeczywistnić za sprawą Pawła Supera jedzie do Polski, do Warszawy i tam

w szkole przy ul. Mokotowskiej zarabia na utrzymanie ucząc języka angielskiego.

To są fakty zewnętrzne Zawackiego drogi do Polski. Jakie były procesy duchowe, które działały w tym młodym Amerykaninie, jakie bodźce skierowały go w tamtą stronę - powiedzieć nie umiem. Odezwał się w nim zapewne z wielką siłą ów atawistyczny zew polskiej ziemi i polskiej krwi, którego my - przybysze nowi - szukamy u drugiego pokolenia wychodźczego jakże często daremnie. Pobyt Zawackiego w Polsce wydał plon obfity. Chłonny jego umysł wciągnął w siebie ożywcze polskie soki. W duszę jego padały z katedr Uniwersytetu Warszawskiego słowa wykładów uczonych o polskiej literaturze, historii, kulturze. Zaczynał uświadamiać sobie to co wyjeżdżając z Ameryki może tylko mglisto przeczuwał. Poglądy na sprawy polskie nie były u niego narzucone, wyrabiał sobie opinie i zdania sam.

Gdy po sześciu latach ten "polonicatus Americanus" wrócił do Stanów droga jaka chciał pójść była już wytyczona. Na uniwersytecie Harvarda przeprowadza studia uzupełniajace w dziedzinie filologii słowiańskiej. Niebawem uniwersytet stanu Wisconsin zaprasza go z początku na wykładowcę, następnie na profesora języka i literatury polskiej i rosyjskiej. Na katedrze tej jest następcą śp.Józefa Birkenmajera, który zginał w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. Niedługo po objęciu nowego stanowiska Zawacki uzyskuje na uniwersytecie Harvarda doktorat filozofii na podstawie rozprawy angielskiej o Żeromskim. Promotorami jego są profesorowie Cross i Lednicki.Wypada wspomnieć,że doktorat ten był pierwszym w dziejach Harvardskich, udzielonym za pracę w dziedzinie polonistyki.

Tyle mniejwięcej wiedziałem o osobie prelegenta, który miał wygłosić w Instytucie odczyt o rozwoju powieści polskiej w XIX wieku, nie mogłem zatem zaspokoić zrozumiałej ciekawości członków Sekcji i Koła Pisarzy. Gdy zjawił się prelegent, odrazu znaleźliśmy się pod jego urokiem. Podbił wszystkich słuchaczy swoją postawą, jasnością wykładu, dojrzałością sądu i czystą, piękną, dźwięczną, bogatą polszczyzną. A wyznać muszę, że właśnie na tym punkcie żywiliśmy pewne obawy. Mimo trzeźwości i umiaru z jakim młody profesor wygłaszał swą prelekcję nie brakło momentów gdy prelegent wznosił się na szczyty emocjonalnego napięcia jak np. gdy mówił o Ślimaku z Prusowej "Placówki", jako o przedstawicielu odwiecznej od czasów biskupińskich hardej i twardej polskości na zachodnich ziemiach Rzeczypospolitej, lub gdy wspominał, że od Sienkiewiczowego "Quo Vadis" wyższy nakład ma tylko Biblia.

Szczerze, serdecznie i ze wzruszeniem dziękowaliśmy prelegentowi bo wypełnił przykazanie rzymskiego poety "antiquam exquirite matrem" i on, już Amerykanin w pełnym tego wyrazu znaczeniu i z najlepszymi tego wielkiego narodu atrybutami, oderwał nas na chwilę od naszej wygnańczej rzeczywistości i za Konopnicką zawołał:

Serca się nasze pod stopy twe ściela,
Polsko, jaką Cię nie widziały duchy!...
- Idziemy matko! Idziemy do Ciebie!

Żałować tylko wypada, że na odczyt przybyło zaledwie kilka osób z pośród młodzieży amerykańsko-polskiej. Przecież prof.Zawacki do niej należy i z pewnością mogłaby stwierdzić na jego przykładzie, że być kulturalnym i wykształconym Amerykaninem nie przeszkadza wcale temu, by znać język i kulturę polską.

Życzymy prof.Zawackiemu, by potrafił natchnąć swych uczniów w dalekim Madison tym samym umiłowaniem i zrozumieniem rzeczy polskich, jakie widzieliśmy u niego, i mamy nadzieję, że niebawem znowu do nas zjedzie. A możeby tak poeci i pisarze mogli w jego strony pojechać?!

Ludwik Krzyżanowski

"TYGODNIK POLSKI" Nowy York,dnia 10.XII.1942

Szanowny Panie.

"Koło Pisarzy z Polski" ma zaszczyt zawiadomić, że z dniem 1-go stycznia ukaże się nowe pismo tygodniowe pod nazwą "TYGODNIK POLSKI". Po przeszło rocznym istnieniu wydawanego na powielaczu "Tygodniowego Przeglądu Literackiego", który zjednał sobie wielu stałych czytelników, potrzeba normalnego pisma tygodniowego stała się oczywista. "Koło Pisarzy z Polski" przystępując do tego wydawnictwa miało przeświadczenie, że spotka się ono z powszechnym poparciem zarówno ze strony Polonii amerykańskiej jak i też ze strony polskich uchodźców, przebywających obecnie w Stanach Zjednoczonych.

"TYGODNIK POLSKI" zawierać będzie artykuły i prace literackie najwybitniejszych polskich pisarzy, uczonych i specjalistów rozlicznych dziedzin.

Przynosić będzie artykuły i enuncjacje, napisane specjalnie dla naszego tygodnika przez znanych pisarzy, publicystów, uczonych i mężów stanu wszystkich sojuszniczych narodów.

Poruszy aktualne zagadnienia z dziedziny literatury, sztuki, nauki i bieżącej sytuacji wojennej, zamieści wywiady i ankiety na tematy, obchodzące każdego Polaka.

W bogatej kronice informować będzie o nowych książkach polskich i obcojęzycznych, o wszystkich wydarzeniach kulturalnych i politycznych.

Śledzić będzie tendencje i poglądy w sprawie powojennej odbudowy świata, szczególnie zaś Polski.

Pozyskał stałych korespondentów wojska polskiego oraz z ośrodków, skupiających uchodźców polskich.

Zawierać będzie karykatury i rysunki polskich artystów oraz ciekawe ilustracje.

"Tygodnik Polski" pragnie stać się ośrodkiem polskiej myśli twórczej, skupiającym wszystkich Polaków na emigracji.

W skład komitetu redakcyjnego "TYGODNIKA POLSKIEGO" wchodzą: Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, Jan Lechoń i Zenon Kosidowski.

Uprzejmie prosimy o spieszne zgłoszenie prenumeraty przez wypełnienie i przesłanie załączonego formularza pod adresem : "Tygodnik Polski"/Polish Weekly/, 151 East 67-th St.,New York,N.Y.

Abonament z przesyłaniem do domu wynosi: miesięcznie 40 ct. kwartalnie 1.20 ct., półrocznie 2.40 ct., rocznie 4.50 ct.

Niżej podpisany zgłasza mies., kwartalną, półroczną, roczną prenumeratę "Tygodnika Polskiego".

Należność w wysokości ____________ załączam czekiem, przekazem pocztowym.

dnia____________

____
Imię i nazwisko /wyraźnie/

____
ulica

____
miasto i stan